

HILARY MANTEL
W KOMNATACH
WOLF HALL

Z języka angielskiego przełożyła
Urszula Gardner



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Fragment książki

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

Poprzez Kanat Angielski

Putney, 1500

– Dalejże, wstawaj!

Powalony, oszołomiony, ucichły, leżał jak długi na kocich łbach podwórca. Odwraca lekko głowę, spojrzenie kieruje ku bramie, jak gdyby stamtąd mogła nadejść pomoc. Teraz wystarczy jeden precyzyjnie wymierzony cios, żeby zginał na miejscu.

Krew z rozcięcia nad brwią – pierwszego skutku ciężkiej ręki ojca – spływa mu strumyczkiem po twarzy. Poza tym lewe oko ma podpuchnięte, ale mrużąc powiekę prawego i wysilając wzrok, dostrzega, że łapęć ojca rozłazi się w szwach. Szpagat przeciął wiotką skórę i twardym węzłem na wolnym końcu sięgnął jego czoła, otwierając kolejną ranę.

– Dalejże, wstawaj! – ryczy nań z góry Walter, obmyślając, gdzie by tu jeszcze kopnąć. Podnosi głowę odrobinę i przesuwając się w przód, pełznąca na brzuchu i uważając, by nie wystawić spod ciała rąk, na które Walter z upodobaniem następuje całym ciężarem. – Co to? Zamieniłeś się w węża? – pyta go rodzic, po czym robi parę kroków w tył, nabiera impetu i wymierza mu kolejnego kopniaka.

Uderzenie pozbawia go tchu; myśli sobie, że już po nim. Głowa opada mu na ziemię; leży bez ruchu, spodziewając się, że Walter na niego zaraz skoczy. Psina, Bella, ujada zamknięta w wychodku. Będę za nią tęsknił, stwierdza w duchu. Ziemia na podwórku cuchnie piwem i krwią. W dali, na nabrzeżu rzeki, ktoś woła. Nic go nie boli, albo raczej boli go wszystko równomier-

nie, gdyż nie sposób wyłonić jakiegoś szczególnie doskwierającego miejsca. Czuje jednak zimno. Chłód przenika przez kość policzka przytkniętego do twardego kociego łba.

– Spójrz no! – wydiera się Walter. – Spójrz no tylko! – Podskakuje na jednej nodze, zupełnie jakby tańczył. – Spójrz no, co się stało... Rozdarłem sobie but, kopiąc cię w ten pusty czerep!

Cał po cał. Cał po cał naprzód. To nic, że będzie cię wyzywał od węży, robaków czy węgorzy. Trzymaj głowę nisko, nie prowokuj go. Nos ma zapchany krzepnącą krwią, toteż musi rozchylić usta, aby oddychać. Ojcowskie zatroskanie stanem buta pozwala mu wymiotować.

– Tak jest! – wrzeszczy na niego Walter. – Bryzgaj dokoła, bryzgaj na moje czyste kocie łby! No dalej, chłopcze, wstawaj! Zobaczmy, czy dasz radę. Na krew gadzinowego Chrystusa, stań na nogi!

Gadzinowy Chrystus? powtarza w myślach. Ciekawe, o co mu chodzi? Przekręca niedostrzegalnie głowę, jego włosy lądują we własnych wymiotach, Bella ujada nieprzerwanie, Walter drze się, a znad wody dociera odległy dźwięk dzwonów. Nieoczekiwanie odczuwa pod sobą drgnienie, jakby brudny podwórzec zmienił się w Tamizę. Ziemia drży i kołysze się, a on razem z nią; wypuszcza głośno powietrze ze zmaltretowanego ciała. Tym razem ci się udało, szepcze Walterowi jakiś głos. Jednakże on zamyka uszy, a może to Pan Bóg zamyka je dla niego. Porywa go nurt, głęboka ciemna fala.

*

Kiedy się przecyka, jest prawie południe, a on stoi oparty plecami o framugę drzwi Pegaza Latającego Konia. Jego siostra Kat właśnie wychodzi z kuchni, niosąc stos gorących pasztecików. Zobaczywszy go, nieomal upuszcza tacę i rozdziawia usta ze zdumienia.

– Spójrz na siebie!

– Kat, nie krzycz, to boli...

– Morganie Williamsie! – wyrzaskuje imię męża, okręcając się w miejscu z dzikimi oczyma i twarzą wciąż zaczerwienioną od gorąca bijącego z pieca. – Niech ktoś weźmie ode mnie tę tacę, na miłość boską! Gdzieście się wszyscy podzieli?

Drży na całym ciele, tak samo jak Bella wtedy, gdy wypadł z łodzi.

Do środka wbiega jakaś dziewczyna.

– Gospodarz pojechali do miasta.

– Wiem, głupia! – Obraz nędzy i rozpacz, jaki przedstawia jej brat, odebrał Kat chwilowo rozum. Teraz wciska dziewczynie tace z pasztecikami. – Jeśli postawisz je tam, gdzie dobiorą się do nich koty, natrę ci uszu tak, że zobaczysz wszystkie gwiazdy. – Nareszcie z pustymi rękoma splata palce jak do modlitwy, aż bieleją jej kostki. – Znów się z kim tłukłeś czy zrobił ci to ojciec?

Tak, odpowiada, zamaszycie kiwając głową, aż puszcza mu się krew z nosa; tak, powtarza wskazując na siebie, jakby chciał powiedzieć: Walter tu był. A Kat woła, żeby jej przynieść miednicę i wodę, miednicę z wodą i czyste płótno, i jeszcze żeby diabeł się w końcu przebudził i zabrał Waltera, swego wiernego sługę.

– Usiądź, zanim się przewrócisz. – Próbuje wyjaśnić siostrze, że dopiero co wstał. Tam, na podwórku. Chociaż mogło to być godzinę albo i dzień temu i równie dobrze jak dzisiaj może już być jutro; tyle że gdyby leżał tam przez cały dzień, Walter wróciłby i dokończył dzieła, utłukł go za to, że zawadza, bądź też rany skłęłyby nieco i bolałyby go teraz każda kosteczka, niemal nie mógłby się ruszać, taki by był sztywny i obolały. Dobrze poznał, co potrafią pięści i nogi Waltera, i wie, że drugi dzień bywa o wiele gorszy od pierwszego. – Siadaj i nie gadaj – upomina go Kat.

Kiedy przynoszą miednicę, siostra staje nad nim i zaczyna pracować, najpierw przykładając zwilżone płótno do przymkniętego oka, potem zataczając małe kółka po czole aż do linii włosów. Oddech ma urywany, a wolną ręką opiera się o jego ramię. Co rusz przeklina pod nosem, a od czasu do czasu wydiera się jej z piersi okrzyk, po czym natychmiast gładzi go po szyi i szepcze uspokajająco: „Już dobrze, dobrze...”, całkiem jakby to on wykrzykiwał z bólu, czego przecież nie robi. Ma za to wrażenie, że się unosi i tylko ona przytrzymuje go na ziemi; chciałby objąć ją ramionami i wtulić twarz w jej fartuch, wsłuchując się w bicie serca. Wszakże nie chce jej pobrudzić, wysmarować krwią całego przodu.

Gdy Morgan Williams przestępuje próg, ma na sobie najlepsze wyjściowe ubranie. Wygląda bardzo walijsko i zadziornie; najwyraźniej usłyszał już domowe wieści. Przystaje obok Kat i spogląda w dół, milcząc, aż wreszcie się odzywa:

– Zobacz! – Zaciska pięść i trzykrotnie boksuje powietrze. – To właśnie! To by ode mnie dostał. Walter. To właśnie by dostał. Ode mnie.

– Cofnij się – radzi mu spokojnie Kat. – Chyba nie chcesz, żeby kawałki Toma znalazły się na twoim londyńskim odzieniu.

Rzeczywiście, nie chce. Odstępuje dwa kroki w tył.

– To nie moja sprawa, ale do licha, chłopcze!... Mógłbyś unieszkodliwić tego tyrana w uczciwej walce.

– W grę nigdy nie wchodzi uczciwa walka – staje w obronie brata Kat. – Zachodzi cię od tyłu, prawda, Tom? I zawsze ma coś w ręku.

– Tym razem chyba trzymał gąsiorek – stwierdza kwaśno Morgan Williams. – Powiedz, zaatakował cię gąsiorkiem?

Potrząsa w odpowiedzi głową. Z nosa znów zaczyna mu kapać krew.

– Nie rób tego więcej, bracie – mówi Kat. Ma dłoń całą czerwoną; wyciera krwiste smarki o siebie. Ależ sobie utyłała fartuch, równie dobrze mógł tam jednak przyłożyć twarz.

– Domyślam się więc, że nie widziałeś – ciągnie Morgan – co dzierzył tym razem?

– Na tym polega przewaga – udziela odpowiedzi Kat – ataku od tyłu, z zaskoczenia, ty sędzio z bożej łaski. Chcesz usłyszeć o moim ojcu, Morgan? Łapie, co mu się nawinie pod rękę. Czasem gąsiorek, to prawda. Nieraz byłam świadkiem, jak robił to naszej matce. Albo Bet. Celował zawsze prosto w głowę. Bywało również, że niczego nie zdążyłam zauważyć, zanim przecknęłam się, leżąc na podłodze.

– Czasami zastanawiam się, w jaką ja się wzeniłem rodzinę... – wzdycha Morgan.

I na tym się kończy. Niektórzy mężczyźni cierpią na chroniczny katar, niektóre kobiety mają nieustający ból głowy, a Morgan wzdycha i zastanawia się. Zresztą chłopiec już go nie słucha; rozważa w duchu, czy to, że ojciec bił matkę, oznacza, że koniec końców ją zabił. Nie, to niemożliwe, spotkałaby go za to kara; Putney może być oazą bezprawia, ale morderstwo nikomu nie uchodzi na sucho. Jemu od tamtej pory matkowała Kat; płakała nad nim i gładziła go po szyi.

Opuszcza prawą powiekę, żeby przez moment czuć tak samo oboje oczu, po czym próbuje je równocześnie rozewrzeć.

– Kat – pyta – gdzieś tam wciąż mam oko, co? Bo zupełnie nic nie widzę.

Tak, tak, tak, zapewnia go, podczas gdy Morgan kontynuuje przesłuchanie, aby ustalić fakty. Ostatecznie decyduje, że narzędziem był twardy, dosyć

ciężki ostry przedmiot, ale raczej nie zbity gąsiorek, bo wtedy Tom kątem oka by zobaczył poszarpany brzeg naczynia – tuż przed tym, zanim Walter sięgnął jego brwi, chcąc go oślepić. Pozwala Morganowi sformułować swoją teorię i choć chciałby coś dodać o rozpadającym się łapiu, o węźle, węźle na szpagacie, wydaje mu się, że wysiłek, jakiego wymaga otwarcie ust, jest nieproporcjonalny do nagrody za wypowiedziane słowa. W gruncie rzeczy zgadza się z wnioskami Morgana; chciałby pokiwać głową, lecz czuje się tak pognieciony i zdefasonowany, że przez ułamek chwili myśli, czy nie ma złamanego karku.

– Ale, ale – przerywa milczenie Kat. – Co też takiego uczyniłeś, że się na ciebie rzucił? Na ogół wstrzymuje się z rękoczynami do zachodu słońca, jeśli nie ma dobrego powodu.

– Właśnie – podchwytuje Morgan Williams. – Jaki był powód?

– Wczoraj. Się. Biłem.

– Biłeś się wczoraj? Z kim, na Boga?

– Nie wiem. – Zarówno imię przeciwnika, jak i przyczyna bójki wyleciały mu z pamięci, przy okazji usuwając odłamek kości z czaszki. Dotyka ostrożnie głowy. Gąsiorek? Niewykluczone...

– Och – wtrąca się Kat. – Chłopcy zawsze urządzają sobie bijatyki. Na brzegu rzeki.

– Zaraz, zaraz, niech to sobie poukładam – mamrocze Morgan. – Wczoraj Tom wrócił do domu w podartym ubraniu i z zaczerwienionymi kostkami, a staruszek na to: „Cóż to, biłeś się? Aha”. Po czym odczekał dzień i mu przyłożył utłuczonym gąsiorkiem, a potem jeszcze przewalił na ziemię, skopał gdzie popadnie, stłukł na kwaśne jabłko sztachetą, która mu wpadła w ręce...

– Naprawdę to zrobił?

– Huczy o tym cała parafia. Ludzie ustawiali się w kolejce, żeby mi opowiedzieć, krzyczeli jeden przez drugiego, zanim jeszcze łódź dobiła do brzegu. Słuchaj, Morganie Williamsie, ojciec twojej żony pobił małego Toma i chłopiec ledwie żywy doczołgał się do waszego domu, wezwano już nawet księdza... Wezwawaś księdza?

– Ożeż wy, Williamsowie! – wykrzykuje Kat. – Wydaje wam się, że jesteście tu tacy ważni. Ludzie ustawiają się w kolejkach, żeby wam mówić różne rzeczy. A czemuż to? Bo wierzycie we wszystko, co się wam mówi.

– Ale przecież to prawda! – oburza się Morgan. – Prawie prawda. Może nie? Jeśli odłożyć na bok gadanie o księdzu i umieraniu...

– Z pewnością dochrapiesz się urzędu sędziego – stwierdza kpiąco Kat – skoro umiesz dostrzec różnicę między zwłokami a moim bratem.

– Kiedy zostanę sędzią, każę zakuć twego ojca w dyby. Grzywna? Nie można go pokarać grzywną. Jaki miałoby sens odbierać pieniądze temu człowiekowi, skoro zaraz wyjdzie na ulicę i obrabuje kogoś albo ocygani na taką samą kwotę jakiegoś nieszczęśnika, który będzie miał pecha stanąć mu na drodze?

Pojękuje z cicha, stara się jednak nie przeszkadzać w rozmowie.

– Już dobrze, dobrze – szepcze doń Kat.

– Jestem pewien, że obecni sędziowie mają tego powyżej uszu – ciągnie Morgan. – Jeśli nie chrzci swojego piwa, przepędza tabun owiec przez błonia; jeśli nie grozi sąsiadom stratowaniem, obraża strażników miejskich; jeśli się nie zatacza od pijaństwa, leży pijany jak bela. Jeśli nie odda ducha Bogu na długo przed swoim czasem, będzie to dowód, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

– Skończyłeś już? – pyta go Kat. Następnie zwraca się do Toma: – Lepiej, żebyś został przez jakiś czas u nas. Morganie Williamsie, co ty na to? Przyda się do pomocy przy cięższych pracach, jak już wydobrzeje. Może też pomagać ci w rachunkach, będzie dodawał i... jak nazywa się to drugie? Przestań się ze mnie śmiać, i to już. Jak sądzisz, kiedy miałam się uczyć rachunków, mieszkając pod jednym dachem ze swoim ojcem? To, że potrafię się podpisać, zawdzięczać tylko Tomowi.

– Nie spodoba mu się. – Tylko tyle jest w stanie z siebie wydusić: krótkie, treściwe zdania.

– Kto mówi o podobaniu? – dziwi się Morgan. – Powinien się wstydzić!

– Pan Bóg zapomniał o wstydzie, kiedy lepił mojego ojca – wtrąca Kat.

Ponownie próbuje coś powiedzieć:

– To niecała mila. Łatwo mu przyjdzie...

– Dobrać ci się do skóry? – wpada mu w słowo Morgan Williams.

– Niech no tylko spróbuje! – wygraża się, prezentując swój nerwowy, płytki walijski cios poniżej pasa.

*

Po tym jak Kat przestała go opatrywać i Morgan Williams zakończył przechwalanie się i drobiazgowo odtwarzanie przebiegu zdarzenia, odpoczywał

jeszcze przez pewien czas, aby dojść w pełni do siebie. W którymś momencie Walter zjawił się pod drzwiami z jakimś swoim znajomkiem i było trochę krzyków i szarpania za klamkę, ale wszystko to dobiegało doń jakby z oddali, tak że możliwe, iż tylko mu się przysniło. W głowie tłucze mu się jedno i to samo pytanie: co mam zrobić, skoro jest jasne, że nie mogę zostać w Putney? Bierze się ono częściowo stąd, iż wraca mu pamięć dnia wczorajszego i tamtej bójki i z każdą chwilą nurtuje go głębsze przekonanie, że gdzieś pomiędzy tym wszystkim był nóż, który najwyraźniej nie został wrażony w jego ciało, może więc to on go wraził w ciało kogoś innego? Nie ma co do tego pewności. Pewien jest tylko jednego: ma dość Waltera i jego traktowania. Jeśli jeszcze raz mnie tknie, zabiję go. Jeśli go zabiję, powieszą mnie jak nic. Wolałbym nie zawisnąć na stryczku z takiego powodu, niechybnie znajdzie się lepszy.

Z dołu dochodzą go podnoszące się i opadające głosy. Słyszy tylko piąte przez dziesiąte. Morgan krzyczy: „Spalił za sobą wszystkie mosty”. A Kat okazuje skruchę z powodu swojej spontanicznej propozycji, by zamieszkał z nimi i zarabiał na utrzymanie jako chłopiec do wszystkiego, wynoszenia przepełnionych nocników i wyrzucania awanturujących się gości – a to dlatego, że jej mąż utrzymuje, iż Walter będzie wracał i sprawiał im kłopoty, a w końcu mówi:

– Gdzie Tom? Odeślij go do domu. Kto zapłacił parszywemu księdzu, żeby nauczył go czytać i pisać, jak nie ja, a teraz ty z tego korzystasz, głupia, obżerająca się cebulą dziwko.

Schodzi na dół. Morgan wita go rażno:

– Wyglądasz całkiem, całkiem, biorąc pod uwagę okoliczności.

Prawda na temat Morgana Williamsa – przez którą nie lubi go ani trochę mniej – jest taka, że ów pomysł, by pewnego dnia sprać świekra na kwaśne jabłko, pozostaje w sferze marzeń. W rzeczywistości Morgan trzęsie portkami przed Walterem jak większość ludzi w Putney oraz – skoro już o tym mowa – w parafiach Mortlake i Wimbledon.

Odpowiada:

– Już mnie nie ma.

– Musisz zostać choć na dzisiejszą noc – protestuje Kat. – Wiesz przecież, że drugi dzień jest najgorszy.

– Kogo stłucze, jak mnie tam nie będzie?

– Niech cię o to głowa nie boli – prycha Kat. – Chwalić Boga, Bet jest mężatką i trzyma się z dala od niego.

Morgan Williams wtrąca:

– Coś ci powiem, chłopcze. Gdyby Walter był moim ojcem, już dawno dałbym nogę z domu. – Robi pauzę. – Tak się składa, że uciuliśmy trochę żywego grosza.

Kolejna pauza.

– Zwrócę wam.

Czuając ulgę, Morgan pyta ze śmiechem:

– A jak niby to zrobisz, Tom?

Nie ma pojęcia. Oddycha z trudem, ale to nic, to tylko skrzepy krwi w nosie. Chrząstka chyba nie jest złamana; dotyka grzbietu nosa ostrożnie, z wahaniem, co widząc, Kat woła, żeby uważał, bo włożyła świeży fartuch. Patrzy na niego z troską, nie chce, by odchodził, lecz z drugiej strony nie sprzeciwi się Morganowi Williamsowi, tak czy nie? Williamsowie to ważni ludzie w Putney, we wszystkich okolicznych parafiach. Morgan za nią przepada; przypomina jej, że ma dziewczuchy do gotowania i warzenia piwa i że powinna siedzieć na piętrze i żyć jak prawdziwa dama albo modlić się o jego sukces, kiedy w swym najlepszym wyjściowym ubraniu jedzie do Londynu załatwiać sprawy. Ze dwa razy dziennie może się przejść po Pegazie w eleganckiej sukni i sprawdzić, czy wszystko jest jak trzeba, a jeśli nie, naprawić to paroma poleceniami. Takie jest jego wyobrażenie. I choć widzi, że siostra pracuje tak samo ciężko, jak pracowała od małego dziecka, widzi też, że bardzo jej się podoba, kiedy Morgan nalega, by usiadła i wiodła życie damy.

– Zwrócę wam – powtarza. – Może zaciągnę się do jakiejś armii. Wtedy mógłbym wysyłać wam część żołdu i tego, co mi przypadnie w udziale z łupów wojennych.

– Ale przecież nie toczy się żadna wojna – zwraca mu uwagę Morgan.

– Prędzej czy później jakaś znowu wybuchnie – włącza się do rozmowy Kat.

– Albo zaciągnę się na okręt, zostanę chłopcem pokładowym... Tylko że jest jeszcze Bella... Jak myślicie, powinienem po nią wrócić? Skomlała, kiedy ją zamykał.

– Po to, żeby go nie podgryzała w pięty? – pyta Morgan. Zawsze stroi sobie żarty z Belli.

– Chciałbym ją ze sobą zabrać.

– Słyszałem, że na statkach trzyma się koty. W życiu nie słyszałem o psie na pokładzie.

– Bella jest malutka.

– Tak czy siak nie przypomina kota – śmieje się Morgan. – Zresztą jesteś za stary na chłopca pokładowego. Taki majtek musi śmigać po takielunku jak małpka. Widziałeś kiedy małpę, Tom? Już bliżej ci do żołnierza. Po prawdzie, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Nie byłeś ostatni w kolejce, kiedy Pan Bóg rozdawał pięści.

– Zaraz, zaraz – unosi rękę Kat. – Zobaczmy, czy to ma sens. Pewnego dnia mój brat Tom wdaje się w bijatykę. Nazajutrz w ramach kary jego ojciec zakrada się od tyłu i zdziela go w głowę czymś tam, ale na pewno ciężkim i raczej ostrym, a potem, kiedy Tom już leży na ziemi, nieomal wylupuje mu oko, po czym jeszcze kopie w żebra i tłucze będącą na podorędziu dechą, nie oszczędzając twarzy, tak że nawet ja, rodzona siostra, mam kłopot, by go rozpoznać, zaś mój mąż na to wszystko mówi: Tomaszu, jedynym wyjściem w twojej sytuacji jest zaciągnąć się do armii, pójść i znaleźć kogoś, kogo nawet nie znasz, stłuc go ile wlezie, odebrać mu oko i połamać żebra, a najlepiej zabić i jeszcze wziąć za to pieniądze.

– To – przytakuje Morgan – albo bić się dalej na nabrzeżu bez niczyjej korzyści. Przyjrzyj mu się. Gdybym mógł, sam bym wywołał wojnę, byle móc z niego uczynić swego żołnierza.

Morgan sięga po sakiewkę. Niezwykle wolno, prawie kusząco, wyklada po kolei monety: brzęk, brzęk, brzęk.

A on dotyka policzka. Jest posiniaczony, ale gładki. I niesłychanie zimny.

– Posłuchajcie – odzywa się z namysłem Kat. – Dorastaliśmy tutaj. Z pewnością znajdzie się ktoś, kto by mógł pomóc Tomowi...

Morgan gasi ją spojrzeniem, z którego przeziiera elokwentne pytanie: „Czyżbyś znała tak wiele osób chętnych, by sprzeciwić się Walterowi Cromwellowi? Pragnących, by kopał w ich drzwi i włamywał się im do domów?”. Jakby czytając w jego myślach, Kat zastanawia się na głos:

– Nie. Raczej nie. Może rzeczywiście tak będzie najlepiej. Co o tym sądzisz, Tom? – zagaduje, on tymczasem zbiera się do wyjścia. A Kat dodaje: – Morgan, tylko na niego popatrz. On nie powinien nigdzie dzisiaj iść.

– Powinienem. Jeszcze trochę i ręka znów zacznie go świerzbić. Przyjdzie tu. Jeżeli będę u was, puści wam dom z dymem.

Morgan pyta rzeczowo:

– Masz wszystko, co ci potrzebne?

Chce się zwrócić bezpośrednio do siostry i odpowiedzieć, że nie.

Ale ona na niego nie patrzy; płacze. Płacze nie z jego powodu – jest pewien, że nikt nigdy nie będzie z jego powodu płakał; Pan Bóg nie uczynił go takim. Płacze za życiem, które pragnęłyby wieść: z niedzielą po kościele spędzaną w otoczeniu wszystkich siostr i szwagierek, wśród kobiet cmokających się w policzki i poklepujących po rękach, opędzających się od swoich i nie swoich dzieci, a zarazem kochających je wszystkie i gładzących ich małe krągłe główki, porównujących i przekazujących sobie z rąk do rąk niemowlęta, oraz w otoczeniu mężczyzn zbierających się, żeby pogawędzić o interesach, o wełnie i przędzy, o łokciach i sążniach, statkach, przeklętych Flamandach, prawach połowu, warzeniu piwa, rocznym dochodzie, wymienić się użytecznymi informacjami, przysługami, zaliczkami, łapówkami, radami typu: mój prawnik mówi... Tak właśnie powinno wyglądać życie żony Morgana Williamsa wywodzącego się z Williamsów poważanych w całym Putney. Tyle że z jakiegoś powodu wcale tak nie wygląda. Już Walter się o to postarał.

Wolniutko, ostrożnie, wyprostowuje się na całą swoją wysokość. Czuje, że boli go każdy kawałeczek pobitego ciała. Jeszcze nie tak, jak będzie bolał jutro. Na trzeci dzień wystąpią siniaki i trzeba będzie odpowiadać na pytania ludzi, skąd się wzięły. Ale wtedy będzie już daleko stąd i prawdopodobnie nikt nie przejmie się nim na tyle, by zapytać, ponieważ nikt nie będzie go znał ani się o niego martwił. Po prostu każdy pomyśli, że zawsze chodzi z posiniaczoną głową.

Zbiera ze stołu monety.

– *Hwyl, Morgan Williams. Diolch am yr arian.* – Dziękuję za pieniądze. – *Gofalwch am Katheryn. Gofalwch am eich busnes. Wela i chi eto rhywbryd. Poblwc.* – Opiekuj się moją siostrą. Troszcz się o interesy. Do zobaczenia w przyszłości.

Morgan Williams gapi się na niego jak sroka w gnat.

A jemu chce się śmiać; uśmiechnąłby się, gdyby twarz go tak bardzo nie bolała, gdyby nie groziło to otwarciem ran. Tyle dni spędził w domu Williamsów – czy naprawdę sądzili, że przychodził do nich tylko na obiad?

– *Poblwc* – odpowiada osłupiały Morgan. Powodzenia.

Pyta go jeszcze:

– Czy dobrze zrobię, jeśli pójdę wzdłuż rzeki?

– A dokąd chcesz się dostać?

– Do morza.

Przez moment Morgan Williams wygląda tak, jakby było mu przykro, że do tego doszło. Mówi jednak:

– Poradzisz sobie, Tom, prawda? Obiecuję ci, że jeśli Bella zajrzy do nas, szukając cię, nie odeślę jej do domu głodnej. Na pewno Kat nakarmi ją pasztecikiem.

*

Musi roztropnie wydawać pożyczone pieniądze. Mógłby pracować po drodze do morza, lecz wie, że gdyby ktoś go rozpoznał, Walter by go dopadł dzięki sieci swoich znajomków, typków gotowych na wszystko za jeden kufel podłego piwa. Pierwsze co mu przyszło do głowy, to zaokrętować się na jakiś statek przemysłowy w Barking lub Tilbury. Zaraz wszakże pomyślał, że jeśli szuka wojny, znajdzie ją we Francji. To podejrzenie potwierdziło kilkoro nieznanym, z którymi rozmawiał (bardzo łatwo nawiązuje kontakty z obcymi). Ostatecznie więc jego wybór pada na Dover. Wybiera właściwy trakt.

Jeśli pomoże się załadować wóz, zyskuje się sposobność, by przejechać na nim kawałek drogi. Daje mu do myślenia, jak kiepsko większość ludzi radzi sobie z ładowaniem wozów. Naoglądał się mężczyzn usiłujących się wgramolić przez wąski tył z szerokaśną skrzynią, a przecież wystarczyłoby obrócić trzymany z wysiłkiem przedmiot. No i są jeszcze konie; od małości kręcił się przy koniach, także tych nielecho przestraszonych, gdyż rankami Walter – jeśli akurat nie odsypiał popijawy urządzonej dla siebie i kompanów, a zakrapianej mocnym, warzonym na domowy użytek piwem – oddawał się swemu drugiemu fachowi: konowalstwu i kowalstwu, a czy to sprawiał jego kwaśny oddech, tubalny głos czy generalnie sposób bycia, nawet te zwierzęta, które na ogół nie sprawiały kłopotów przy podkuwaniu, zaczynały się narowić, rzucać łbami i rakiem wycofywać od gorąca paleniska. Kiedy ich kopyta znalazły się w mocarnym uścisku dłoni Waltera, konie zaczynały drżeć i wtedy jego zadaniem było trzymać je za szyje i uspokajać, gładząc aksamitną sierść między uszami, szepcząc o tym, jak klacze kochały je jako źrebięta i że wciąż sobie o nich opowiadają między sobą, no i że niedługo będzie po wszystkim.

*

Do ust nie bierze nic przez dzień, a może nawet przez dwa dni – zbyt cierpi, poruszając zuchwą. Nim osiąga Dover, rany na głowie goją się i wydaje mu się, że naprawiły się również delikatne organy w środku: nerki, płuca, serce.

Ze spojrzeń, jakie rzucają mu ludzie, wie, iż nadal jest posiniaczony na twarzy. Po inwentaryzacji, którą szwagier przeprowadził, zanim wyprawił go z domu, zyskał przynajmniej pewność, że (chyba tylko cudem) ma wszystkie zęby i oboje oczu, dwie nogi i dwie ręce – czegoż więcej mógłby chcieć?

Chodzi po dokach i wypytuje ludzi, czy nie wiedzą, gdzie toczy się jakaś wojna.

Zaczepieni mężczyźni obrzucają go uważnym spojrzeniem, odstępują o krok i rewanżują się pytaniem: „A ty przypadkiem nie wiesz?”.

Tacy są z siebie zadowoleni, tak śmieją się z własnego dowcipu, że nie przestaje pytać o wojnę tylko po to, by sprawić przyjemność następnym spotkanym na swojej drodze.

Nieoczekiwanie stwierdza, że wyjedzie z Dover bogatszy, niż tam przyjechał. Przyglądał się człowiekowi grającemu w trzy karty i kiedy przejrzał, na czym polega sztuczka, rozstawił się z własną skrzynką i kartami. Ponieważ jest tylko chłopcem, wiele osób przystaje, by spróbować szczęścia. Ich strata.

Podlicza, ile wydał i ile zarobił. Wiedząc, czym dysponuje, wyklada niewielką sumkę na obmacywanki z ładacznicy. Czegoś takiego nie mógłby zrobić w Putney ani okolicy. Williamowie zaraz by się zwiedzieli i obgadywali go za jego plecami po walijsku.

Spostrzega trzech starszych wiekiem Niderlandczyków z licznymi tobołami i śpieszy im z pomocą. Pakunki są miękkie i pokaźne, to bele próbek wełny. Kiedy urzędnik portowy zaczyna im robić problemy, żądając więcej dokumentów i pokrzykując groźnie, ustawia się za jego plecami, udając niezdarę i głupka, i na migi pokazuje, ile w takim wypadku powinna wynieść łapówka.

– Proszę... – Jeden z Niderlandczyków zwraca się do klerka łamaną angielszczyzną. – Może zaopiekujecie się, panie, tymi angielskimi monetami. Ciąją mi tylko...

Klerk promienieje z radości, Niderlandczycy także. Byli gotowi zapłacić o wiele więcej. Gdy trap opada i zaczynają wpuszczać na pokład, mówią:

– Chłopak jest z nami.

Czekając, aż zostaną zrzucone cumy, pytają go, ile ma lat. Odpowiada, że osiemnaście, na co wybuchają śmiechem i mówią: „Dziecko, w życiu tyle

Jest zimno, ale morze jest płaskie. Od Kat dostał święty medalik, żeby go chronił. Zawiesił go sobie na szyi na kawałku sznurka. Teraz czuje chłód metalu na piersi. Odwiązuje sznurek. Dotyka medalika wargami, na szczęście. Opuszcza go, szepcząc w stronę wody. Zapamięta ten pierwszy w swoim życiu widok otwartego morza – szarej, przepastnej, lekko tylko pomarszczonej powierzchni przypominającej resztki snu.